

MARZANNA



Pierwszy dzień wiosny był tuż, tuż, a drzewa i trawniki nadal pokrywała warstwa śniegu. Białe płatki wirowały za oknem, a na parapecie zmarznięte ptaki przytupywały dla rozgrzewki.

– Mam nadzieję, że jak zrobimy marzannę i wrzucimy ją do rzeki, to zima wreszcie się skończy – powiedziała nasza pani.

Ustaliliśmy, że chłopcy postarają się o słomę, a dziewczyny o bluzkę, spódnicę, wstążki i chustkę. Anka zaproponowała nawet, że przyniesie dla marzanny sukienkę swojej mamy, taką czarną, z wielkim dekoltem, bardzo krótką i obcisłą. A do tego srebrne szpilki i malutką błyszczącą torebkę. Ale pani, nie wiadomo, dlaczego, uparła się na białą bluzkę, wstążki i kolorową spódnicę. Nie chciała się też zgodzić na perukę, którą Zuza była gotowa wykraść z nocnej szafki swojej babci. Szkoda, bo to były całkiem ładne żółte loczki, ale podobno marzanna musi mieć warkocze i to najlepiej ze słomy, a na głowie koniecznie wianek.

– Nasza kukła musi być najładniejsza ze wszystkich – zapaliła się do roboty Majka i obiecała, że przyniesie marzannie biustonosz swojej starszej siostry. – A na koniec oblejemy ją perfumami, żeby ładnie pachniała – dodała.

Pani, gdy to usłyszała, ostatecznie zgodziła się na perfumy, ale o biustonoszu nie chciała słyszeć. W sumie marzanna wyszła nam wielka i gruba. Miała okrągłą głowę i sterczące po bokach warkocze. Na słomianej szyi pani zawiesiła jej czerwone korale, głowę ozdobiła wiankiem, a na przydługiej spódnicy zawiązała fartuszek w kwiatki. Wyszło nawet nie najgorzej. Niestety Majka zamiast perfum przyniosła dezodorant. Miał całkiem ładny zapach, więc popsikaliśmy trochę marzannę pod pachami. Na koniec pani zarzuciła jej na słomiane plecy kolorową chustę i powiedziała:

– Świetnie się spisaliście. Kukła jak malowana. Jutro rano wrzucimy ją do rzeki. Ale najpierw pospacerujemy sobie z naszą marzanną po okolicy. Bo musicie wiedzieć, że dawniej nosiło się marzannę od domu do domu, żeby zabrała ze sobą całe zło, choroby i nieszczęścia. Dopiero potem prowadzono ją

do rzeki i topiono w wodzie lub palono. Chodziło o to, by za jednym zamachem pozbyć się wszelkich kłopotów, przepędzić zimę i przywołać wiosnę. Mam nadzieję, że nam też się to uda.

No i nie wiem, co poszło nie tak, bo choć obeszliliśmy z marzanną trzy długie ulice, a potem wrzuciliśmy ją z głośnym pluskiem do rzeki, i choć na własne oczy widzieliśmy, jak płynie i po chwili znika pod wodą, to zima wcale nie przepadła wraz z nią. Śnieg dalej sypał i wiatr szarpał nam kurtki. A ja myślałam, że razem z marzanną wpadną do rzeki lodowe sople i śniegowe chmury, że mróz zaskrzypi i po raz ostatni uszczypnie mnie w nos. Miało być tak, że jak woda pochłonie słomianą kukłę, to zaraz potem zaświeci słońce, przylecą ptaki i zrobi się zielono.

– Niestety, choć dziś jest pierwszy dzień wiosny, zima nie chce zostawić nas w spokoju. – Nasza pani była niepokieszona. – A przecież zwykle następnego dnia po utopieniu marzanny na wsiach chodzono od domu do domu z zieloną, sosnową gałęzią. Nazywano ją latkiem lub zielonym gaikiem. Była przybrana wstążkami, wydmuszkami, papierowymi kwiatami i dzwoneczkami. Młodzi nieśli latko i śpiewali piosenki, jakby samą wiosnę prowadzili do domów, a gospodynie obdarowywały ich słodkimi plackami, jajkami, obwarzankami i drobnymi pieniżkami. Tak to właśnie dawniej wyglądało. Ale w tym roku zima jest jakaś wyjątkowa i latko będzie musiało poczekać. – Nasza pani westchnęła i otuliła się grubym szalem.

No i ta wyjątkowa zima trwałaby pewnie do dzisiaj, gdyby nie Dorota. Dorota to moja najlepsza koleżanka i to właśnie ona wymyśliła, że zima nie odeszła, bo nie spodobała jej się nasza wielka, gruba i niezgrabna kukła ze słomy w za długiej spódnicy.

– Musimy spróbować jeszcze raz – powiedziała – ale tym razem same zrobimy marzannę.

– Jasne, i nasza będzie dużo ładniejsza. – Od razu spodobał mi się ten pomysł. – Może zamiast wpychać słomę do starej bluzki i zaplatać sztywne, słomiane warkocze, poszukamy jakiejś lalki i przerobimy ją na marzannę? – zaproponowałam.

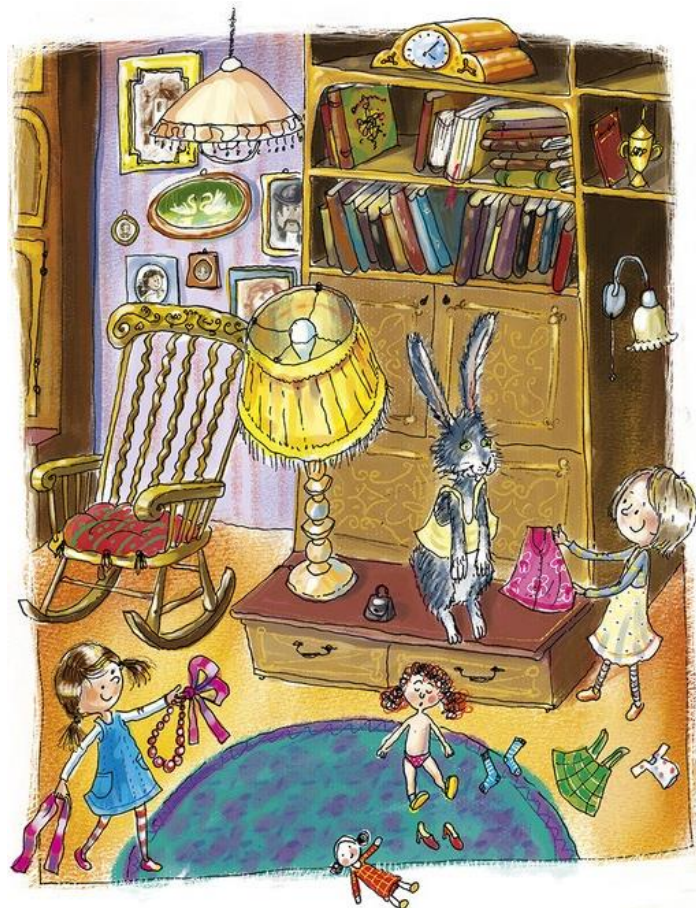
Oczywiście zakładałam, że to Dorota poświęci jedną ze swych lalek, bo ja nie miałam takiego zamiaru. Ona jednak nawet nie chciała o tym słyszeć.

– No to co robimy? – spytałam, a Dorota wzruszyła ramionami i rozejrzała się po pokoju. To był największy pokój w jej domu. Pełno w nim było półek z książkami, zdjęć, obrazów i różnych komódek. Na jednej z nich, obok lampy z żółtym abażurem, stał na dwóch łapkach stary, wypchany zajac. Dorota wzięła go do ręki, obejrzała ze wszystkich stron, otrzepała z kurzu i powiedziała:

– Nada się w sam raz. Zrobimy z niego piękną marzannę.

– A jak się połapią, że zniknął, to co? – spytałam trochę zaniepokojona.

– Eee tam – machnęła ręką Dorota. – Sama słyszałam, jak babcia narzekała, że ten zajac to siedlisko kurzu i moli, że sypie się z niego sierść i jego miejsce jest w koszu na śmieci.



Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałam, jak można przerobić zająca na marzannę, ale okazało się to całkiem proste. Zwłaszcza że ubranka mojej największej lalki pasowały na niego jak ulał. Naciągnęłyśmy więc na szaraka żółtą bluzkę na ramiączkach i modną minispódniczkę w kratę. Potem Dorota zawiesiła mu na szyi kolorowe korale, a na łapce małą czarną torebkę. Największy problem miałyśmy z uszami, które sterczały wysoko nad głową i nie wiadomo było, co z nimi zrobić. Wreszcie Dorota stwierdziła, że uszy to takie jakby warkocze i że nigdzie nie jest powiedziane, że warkocze muszą zwisać, bo równie dobrze mogą być zadarte. Skoro tak, to ozdobiłam każde ucho różową kokardą, a gdy jeszcze przycięłyśmy naszej marzannie wąsiki, to wyglądała naprawdę pięknie. I nawet złote mole, które od czasu do czasu wylatywały z zająca, nie popsęły końcowego efektu.

Jeszcze tego samego dnia, choć było zimno i padał deszcz ze śniegiem, zaniósłamy naszą marzannę nad rzekę i wrzuciłamy ją do wody. Chlupnęło, uszy z różowymi kokardkami zatańczyły na powierzchni i po chwili było po wszystkim. Wtedy pomyślałam sobie: Hej, zimo, bierz zająca i pływ do morza, bo ładniejszej marzanny nikt ci już nie zrobi!



Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale na drugi dzień, gdy tylko się zbudziłam, zobaczyłam błękitne niebo, bez ani jednej chmurki. Świeciło słońce, ćwierkały ptaki, a śnieg zamienił się w pełne błota kałuże. Jednym słowem, nadeszła wiosna. Najwyraźniej nasza marzanna spodobała się zimie i obie odpłynęły w siną dal. Jestem pewna, że gdyby nie ja, Dorota i ta marzanna ze sterczącymi w górę warkoczami, to śnieg padałby u nas do dzisiaj.